

JOLANTA JANICZAK
„Mrowisko: z życia dobrej służącej“

OSOBY:

WIELMOŻNY PAN
WIELMOŻNA PANI
PANIENKA ANULKA
PANICZ LUDWICZEK
KUCHARKA WOJCIECHOWA
ŚLED CZY
ZOFIA STEFANIAK SPOD KÓRNIKA

ŚLEDZĄCY: Służąca Teodora W., z ulicy Św. Marcin 12, w nocy z siedemnastego na osiemnastego maja bieżącego roku powiła dziecko płci męskiej, które zadusiła pończochą, następnie zakopła w piwnicy.

Służąca Marianna G. katoliczka, lat dwadzieścia pięć licząca, w nocy z piątego na szóstego czerwca 1934, utopiła w stawie niemowlę płci żeńskiej, przywiązawszy je pierwszej drutem do dużego, płaskiego kamienia.

Pierwszego stycznia roku 1935 roku, w korytarzu kamienicy numer 56 przy ulicy Miłej znaleziono nieżywe dziecko płci męskiej. Z ust niemowlęcia wyciągnięto szmatę nasączoną wywarem z maku. Szybko wykryto, że sprawczynią czynu jest Katarzyna P., pracująca w charakterze służącej do wszystkiego u państwa H., zajmujących lokal przy ulicy Słonecznej 17.

Trzeciego stycznia 1935 roku, na schodach kościoła św. Tomasza znaleziono zamrożone niemowlę płci męskiej, owinięte jedynie w papier, na którym widniała pieczętka sklepu mięsnego „Swojski wyrób”.

Służąca Hanna S., zatrudniona u rodziny L. zamieszkałej przy ulicy Leśnej 39, wrzuciła niemowlę płci męskiej do dołu kloaczego przy tej samej ulicy. Mimo szybkiej reakcji przypadkowego przechodnia, dziecka nie udało się odratować.

W styczniu bieżącego roku służąca Halina L., chwilowo niezatrudniona, porzuciła niemowlę płci męskiej na cmentarzu, na mogile swojego kochanka ekonoma. Nieżywe dziecko znalazła żona zmarłego, zamieszkała przy ulicy księcia Józefa 17. Sprawczynię ujęto jeszcze tego samego dnia.

Genowefa K., pracująca w charakterze praczki dochodzącej, porzuciła obwiązane sznurówką od gorsetu niemowlę płci męskiej w przydrożnej kapliczce, tuż pod figurą Maryi z Dzieciątkiem.

Tego samego roku znaleziono na torach kolejowych za miastem, dziecko płci męskiej owinięte jedynie w okrycie wierzchnie – charakterystyczną dla służących chustę zimową. Sprawczyni nie udało się dotąd ująć.

Służąca Anna S. w komórce na węgiel poczekała, aż wyjdzie z niej łożysko i tym łożyskiem udusiła niemowlę płci męskiej. Nie podwiązała nawet pępowiny, bo chciała, żeby się wykrwawiło. Zakrwawione zwłoki znalazł stróż kamienicy przy ulicy Chrobrego 2.

W sierpniu 1935 roku, w lesie w okolicach Kórnik, chłopci pracujący przy wycince drzewa dokonali makabrycznego odkrycia. Na polanie, na ogromnym mrowisku leżały nagie zwłoki

niemowlęcia płci żeńskiej, w ogromnej części ponadgryzane przez mrówki i inne owady. Widok tak poraził jednego z drwali, że przez siedem miesięcy nie był w stanie zbliżyć się do lasu. Wieśniacy bali się, że to może być dzieciątko Antychrysta, nie zgodzili się na pochówek u siebie w Kórniku. Dopiero po roku od tego odkrycia udało się wpaść na trop podejrzanej, którą okazała się obecna tu Zofia Stefaniak, w prasie zwana „Diabłem spod Kórnika”.

ZOFIA: Cały czas się boję. Taki już mam charakter, od dziecka: spuszczę głowę i na wszystko się zgodzę. Chciałam tylko wyjść za mąż, zanim stawy i kości odmówią posłuszeństwa, zanim się kolana rozpadną od tej ciągle nie dość błyszczącej podłogi. Znalazł się taki, nie byle kto, którego nic nie powstrzymało od skonsumowania ze mną swojej desperacji. Od samego początku katastrofa rosła niezauważalnie dla nikogo jak paznokieć, żeby potem nagle nadać się tylko do obcięcia. Jednak zanim znalazłam się w lesie, na polanie, z koszykiem na jajka, miałam książeczkę służbową, czterdzieści jeden stron liczącą, dobre referencje. Jako służąca byłam gotowa zrobić wszystko to, co ta profesja za sobą niesie i pociąga. Nikt mi nie pokazał, gdzie się zatrzymać, którądy wyskoczyć, zresztą okna w domu państwa zakratowane na wypadek. Bo wcześniej się już zdarzały śmiertelne upadki i wcale nie przy myciu okiennic od zewnętrznej strony.

ŚLED CZY: Zatrzymana Zofia Stefaniak, zwana w książeczce służbowej Rózią, Marysią, Kasią, Pelosią, od początku unika kontaktu wzrokowego, jakby zaczynała odzyskiwać wstyd lub namiastkę godności.

ZOFIA: Noce przesiadywałam na skraju łóżka, potem na parapecie, bałam się snu w nocy. W nocy się częściej umiera we śnie. W nocy każdy może wejść do kuchni. Zające też śpią nie zamykając oczu.

ŚLED CZY: Wkrótce i tak musi wyjść na jaw, dlaczego się zatrzymana sama po ulicy pałęta wieczorem, przygląda się innym, jakby czegoś chciała.

ZOFIA: Dorabiam sprzątaniem klatek schodowych.

ŚLED CZY: Nasłuchuje, wacha jakby czegoś szukała?

ZOFIA: Dwanaście dni z rzędu w innym miejscu chowałam ten koszyk, najczęściej pod schodami, albo w kościele, bo pusto i ciepło. Dwunastego dnia koszyk sobie ktoś zabrał, a zawartość na posadzce zimnej zostawił. Nie miałam drugiego koszyka.

ŚLED CZY: Takie jak ona nie zostawiają po sobie śladów, żadnych wgnieceń, plam, okruszków, pamiątek dla potomków. Akty urodzenia nie były konieczne, akty zgonu nie przetrwały powodzi i zimy.

ZOFIA: Rzeczy, które nie są w stanie przetrwać wilgoci i mrozu, nie są warte istnienia.

ŚLED CZY: Nikt się po nią i po jej zeznania nie zgłosi, nikt jej nie odbierze.

ZOFIA: Zanim poszłam do lasu z koszykiem na jajka, miałam swoją panią i swojego pana, których całowałam w rękę, bo mamusi całować nie mogłam. Już po czwartej klasie powiedziała: "Musisz zarobić na swoją kaszę mannę na śniadanie". Nawet raz chciała mną sianokosy spłacić, bo nie miała nic innego, ale sąsiad nie pożyczył sprzętu wdowie.

ŚLEDZCY: Bezużyteczność tragizmu, codzienność każda, to wiecznie otwarte okno, ta sama procedura, te same wnioski, żadnych perspektyw, żadnego zaskoczenia.

ZOFIA: Zanim poszłam do lasu, liczyłam, ile razy w nocy obraca się wielmożny pan, ile razy pani wstaje za potrzebą, liczyłam, ile porcji płynów utraconych w nocy musi uzupełnić. Miałam policzone żabki do zasłon, deseczki parkietu, kafelki pieca, byłam pełna nadziei. W domu państwa była kucharka i odkurzacz.

KUCHARKA WOJCIECHOWA: „U Państwa służyła,

W czystości chodziła,

Pracując z uśmiechem wesola.

Śle zgodę dokoła,

Pogodna wesola,

Jak słońce co ciepła udziela.

Modlitwie oddana,

Czcząc Boga i Pana,

Pokornie chleb piecze, gotuje.

Przez pracę czci Boga,

Bo wie, że ta droga

W przyszłości Jej Niebo gotuje.

Lecz pomnij dziecię,

Że pókiś na świecie,

Bóg modłów nie żąda dla Siebie.

Lecz żąda czystości,

W pracy wytrwałości,

Byś krzyż Twój nosiła z miłością.

Byś wiernie służyła,
I wzorem sług była,
Stan służi znosiła z radością.
A kochaj bliźniego,
Miej litość dla niego,
A wesprze Cię Boska opieka.
Nagroda nie minie,
W niebieskiej Krainie,
Szczęśliwość Cię wieczna tam czeka.”

ŚLEDZCY: Wydarzenia wymagają czynnego udziału wszystkich domowników, żeby zebrani sami mogli wyznaczyć karę lub znaleźć inne rozwiązania.

KUCHARKA WOJCIECHOWA: Zanim poszła do lasu z koszykiem, było wiadro na węgiel, była studnia, było święcenie ziół na Matki Boskiej Zielnej.

WIELMOŻNA PANI: „Szeroka w ramionach, silna, męskiego wzrostu, i plecach rosnącego mężczyzny”. Wyznania katolickiego. Oczy niebieskie, nos krzywy. Ze wsi Jedlina, ojciec nieżyjący, rodzeństwo liczne: siedem siostr i dwóch braci. Na oko dwadzieścia lat licząca. Stawia się z polecenia, bez referencji, dnia dwunastego stycznia roku 1929 o siedemnastej trzydzieści, żeby każdy z domowników mógł się do nowego inwentarza osobiście ustosunkować.

KUCHARKA WOJCIECHOWA: Przyszła ze swoim kuferkiem, jakby już wiedziała, że zostanie przyjęta na stałe. W kuchni burakiem, który akurat na barszcz obierałam, usta i lico sobie poza moimi plecami szczerwieniła, po cichu. A dowód wenerycznego badania ma panienka ze sobą?

ZOSIA: Uprzedzono mnie, żeby się z resztą służby nie spoufalać od razu.

KUCHARKA WOJCIECHOWA: Państwo zleciło mi sprawdzić czystość uszu, paznokci i bielizny panienki, wyczuć czy jamy ustnej nie wydziela się jakiś przykry zapach, w ogóle mam panienkę wyczuć.

ZOSIA: Czysta, pracowita, obowiązkowa, nie latawica, obejdzie się bez odwiedzin, ostatnia kąpiel dwa tygodnie temu, regularnie co drugi dzień podmywana, wszy i innych pasożytów brak.

WIELMOŻNA PANI: A skąd wiadomo że brak?

ZOSIA: Nie swędzi nic, ani w głowie ani pod sukienką.

WIELMOŻNY PAN: Może i dom ze służbą to królestwo wyjęte spod prawa, jednak niejednej Kasi, Marysi, Helci, udaje się przemknąć za plecami osób istotniejszych z punktu widzenia rozwoju fabuły i niejeden jej występuk uchodzi na sucho.

ŚLEDZĄCY: Każdy z domowników w którymś momencie purpurowieje z innego powodu, jednych głowy ciągnę ku dołowi, a innych sztybują ku niebu, jakby się chciały oderwać od ciała.

WIELMOŻNA PANI: Przy pierwszym wrażeniu nic nie wskazywało – zresztą, czy można przewidzieć która udusi, która utopi, która wrzuci do ustępu?

ZOSIA: Jestem tu cała do poleceń i do dyspozycji, nie zachowuję dla siebie nawet oddechu. Jak można tu niewidzialnie przemycić jakąś tajemnicę? Jeśli opowieść nie ma tajemnicy, po co ją w ogóle opowiadać?

KUCHARKA WOJCIECHOWA: Od pierwszej chwili wyczułam jednak, że panienka ma mało rozbudowaną osobowość, o płytkiej uczuciowości i niskich potrzebach, że ten węgiel pozostanie węglem, nawet jakby go latami szlifować.

PANICZ LUDWICZEK: A mi się wydaje taka autentyczna jak w powieści Zoli, jak „Nędznicy”.

PANIENKA ANULKA: Co w rozporku dłubiesz świnię bezwstydną!

PANICZ LUDWICZEK: Czy umie panienka zapinać spinki w mankietach, szelki, nakładki na obuwiu dopasować?

ZOISA: Do tej pory miałam do czynienia tylko z brudną garderobą, pościelą, bielizną.

PANIENKA ANULKA: Kobieta zainteresowana taką świnią musiałaby poważnie nienawidzić samej siebie.

PANICZ LUDWICZEK: Matka powiedziała, że każdy nas może egzekwować swoje wymagania i potrzeby.

WIELMOŻNA PANI: Czy panienka wyćwiczona w dźwiganiu ciężarów?

ZOSIA: Wiele zniosłam na wsi, i drewna, i worków z owsem, sama za konia szłam, jak nam Kasztanek nogę złamał, wiele jeszcze znieść mogę i podnieść.

WIELMOŻNA PANI: Ile klas ukończonych?

ZOSIA: Cztery i pół, mamusia na więcej nie mogła pozwolić, zatem na wstępie przepraszam za błędy, których będzie sporo.

WIELMOŻNA PANI: Choroby przebyte? Rwa kulszowa? Zespół jelita?

ZOSIA: Potrafię się nagiąć, wyciągnąć, rozciągnąć, dostosować się do przestrzeni między piecem a oknami, stołem a kredensem. Mogę służyć za stolik kawowy, wieszak, taborecik. A pani może zaoszczędzić na dodatkowych usługach.

WIELMOŻNA PANI: Widząc dziewczynę tak zdeterminowaną, do tego stan uzębienia dobry, co nader rzadkie wśród osób tej profesji, głowa naturalnie się sama pochyla przy rozmowie z nierównymi sobie, straciłam czujność kompletnie.

KUCHARKA WOJCIECHOWA: A te tu, nie idzie o zęby czy głowę, ale froterowanie, pranie, prasowanie, krochmalenie, dokonywanie drobnych napraw, noszenia wody i węgla, nakrywanie do stołu, sprzątanie, cerowanie, wynoszenie nieczystości, przynoszenie zakupów, żebym mogła spokojnie dogadzać państwu: to nadziewanym drobiem, to znów wielowarstwowym tortem ze śmietaną. A skąd u wieśniaczki taka kokarda?

ZOSIA: Czy istnieje opowieść, która przyniosłaby ulgę?

WIELMOŻNA PANI: Choć zaniepokoiły mnie jej niezapowiedziane, mimowolne ruchy, przy których dom zdawał się drzeć – za dużo życia w ciele, ciało nie wie co robić z takim życiem – przez chwilę zwątpiłam, czy jestem w stanie nadać mu strukturę, wypełnić sensem i ładem.

ŚLED CZY: Czy zastanawialiście się bodaj przez chwilę, że służba ma uzasadnione prawo śmiertelnie was nienawidzić?

WIELMOŻNA PANI: Drogie dziecko, będziesz mogła rozpakować kuferek, tylko najpierw chciałabym zobaczyć, czy masz doświadczenie z parkietem.

PANIENKA ANULKA: Parkiet od razu tak ją wciągnął w siebie, że nawet jak ją matka, ojciec prosili, nie przestawała, aż nie było na nim żadnej rysy.

WIELMOŻNA PANI: Wystarczy, widzę, że ma panienska niezbędne doświadczenie.

ZOSIA: Błagam, niech mi pani wielmożna pozwoli jeszcze trzy minuty!

WIELMOŻNY PAN: Powiedz jej, żeby przestała, nie wypada tak się zatracać w czynnościach, zwłaszcza w towarzystwie osób nie swojego stanu.

ZOSIA: Niechże mi wielmożna pani pozwoli dokończyć usługę, źle mi być beczynną i bezużyteczną, nawet przez minutę.

PANICZ LUDWICZEK: Każdy twój ruch szmatą przejmuje mnie niepokojem głębokim i mrocznym.

PANIENKA ANULKA: Nie mogę patrzeć na tę pochyloną głowę, na te plecy. Chciałabym, żebyśmy byli dla niej etapem przejściowym, żeby czekały na nią marzenia, wyprawy dalekie.

PANICZ LUDWICZEK: Co bym dał, żeby się zamienić z tym parkietem.

KUCHARKA WOJCIECHOWA: Przestać, stop, dość!

PANICZ LUDWICZEK: Żeby tak we mnie ktoś tyle energii, pasji włożył.

ZOSIA: Nie mogę wybić tych mrówek w szczelinach.

WIELMOŻNA PANI: Niech Wojciechowa poda jej co tam zostało z obiadu. To pewnie z głodu, u nas nie będzie głodu.

ZOSIA: Tylko w kontakcie z podłogą lub z inną zabrudzoną powierzchnią przestaję pragnąć, żeby ktoś mnie choćby przypadkowo dotknął, poprawił czepek.

KUCHARKA WOJCIECHOWA: Nie reaguje na zupę ani na kompoty. W końcu wyrwałam jej szmatę i jej nią twarz spoconą otarłam i tak ją siłą posadziłam na krześle.

PANICZ LUDWICZEK: A jej serce tak bije wyraźnie, że zagłusza zegar, piecyk, nawet szczekanie psów pod oknem, że zaprasza, żeby w nie wejść, a nie tylko o nim opowiadać.

WIELMOŻNA PANI: Niewiarygodne! W tym parkiecie można się przejrzeć bez cierpienia. Pierwszy raz od lat podoba mi się to, co widzę w odbiciu, po raz pierwszy nie chcę tego, co widzę, poprawić czy niszczyć.

ZOSIA: To kwestia wprawy.

PANICZ LUDWICZEK: To kwestia namiętności.

ZOSIA: Mam siły więcej niż wy wszyscy razem, ale cóż z tego, kiedy nie wiem w co ją włożyć, nie wiem, jak sobie samej rozkazać.

PANICZ LUDWICZEK: Dzieło dążące do istnienia przyzywa malarza, poetę, rzeźbiarza.

WIELMOŻNY PAN: Od razu zauważyłem, że ona się czegoś o nas domyśla, czegoś, czego nawet sami nie możemy przeczuć.

KUCHARKA WOJCIECHOWA: Boję się, żeby przez nią ktoś z nas do grzechu i przestępstwa nie został pobudzony.

ZOSIA: Ciało Zosi-sprawczyni powinno zostać wywleczone od razu, sprawiedliwość powinna je dopaść brutalnie w swej ostateczności, wyrwać wszystkie włosy, wsypać w nią żar z pieca, wlać nieczystości z nocników, żeby się trzymała z daleka od pańskich zachcianek i lasu.

ŚLEDCHY: Niewątpliwie, ból to najlepsze narzędzie narracyjne.

WIELMOŻNY PAN: W naszym domu obchodziliśmy się z językiem i ze służbą delikatnie, nieco po przyjacielsku, mając jednak na uwadze, żeby nie poniżyć przy tym godności własnej.

ZOSIA: Czasem czuję żal do matki, że nas tyle miała.

WIELMOŻNY PAN: Jednak próby spoufalania się nie będą tolerowane.

PANIENKA ANULKA: Dlaczego na takiej jak ona skupia się tyle agresji, pogardy ludzi stojących tylko szczebelek wyżej na tej gnijącej, społecznej drabinie?

ŚLEDCHY: Od czego zatem rozpoczął się szereg wypadków, które powoli pchnęły Zofię S. do zatracenia wstydu, ambicji, wiary w samą siebie, w Boga i w uczciwość ludzką?

ZOSIA: Ze mnie nie można zrobić dobrego uczynku dla ludzi, ze mnie się trzeba leczyć i spowiadać.

ŚLEDCHY: Ale był jakiś początek, jakiś zawód, jakieś bolesne rozczarowanie.

PANIENKA ANULKA: Na te wypadki trzeba zrobić miejsce. Musimy się przesunąć, rozpoznać się w terenie, rozpoznać intencje, zamiary.

ŚLEDCHY: Co się stało z poprzedniczką Zofii?

WIELMOŻNA PANI: Zniknęła nad ranem, nie wzięła nawet tobołka, możesz sobie Marysiu wybrać z jej tobołka, co ci się spodoba. Mogę cię nazywać Marysią albo Marianką czy Franią?

ZOSIA: Wszystko pani wielmożna może.

ŚLED CZY: To wewnątrz zdaje się zaprojektowane do przechowywania sekretów, pamiętek nielegalnych zachowań. Te liczne kryjówki, zakamarki, do których – widać po trzech centymetrach kurzu – rzadko, kto zagląda.

WIELMOŻNA PANI: Cóż, kurz się sam nie usunie, kawa się sama nie naleje, a pan, zadaje się, od początku czeka na filiżankę.

PANIENKA ANULKA: Gorset się sam nie rozepnie, kołtun panienki Anulki też się sam nie rozczesze, próbowałam.

WIELMOŻNY PAN: Kapelusz się sam nie odwiesi, kapcie się same nie założą, stopy się same nie rozmasują, skarpety też się same nie odświeżą.

PANICZ LUDWICZEK: No i lampka nocna się przecież sama do sypialni nie wniesie, leki mi się same nie podadzą, a opatrunki same się nie zmieniają.

KUCHARKA WOJCIECHOWA: Zakupy rano się też same nie przyniosą, a i węgiel się sam nie pojawi pod piecem.

ZOSIA: Uczę się nowej choreografii. Za miesiąc nie będę pamiętać, że można się było kiedyś poruszać inaczej. Państwa potrzeby wyznaczyły mi mapę, plan, pejzaż zarówno wewnętrzny, jak i zewnętrzny. Zaczynam czuć fizyczny związek z tym wiadrem na węgiel, z tą szczotką do butów, z tym wieszakiem, z miednicą na pranie. Najbliższe są mi schody, spod których mogę czasem dyskretnie podpatrzeć chwilę cudzej prywatności.

ŚLED CZY: Dla jednych fetysz, dla drugich syndrom, narzędzie, wyrzut sumienia, problem, a może zagadka.

PANICZ LUDWICZEK: Zupełnie jakby wszystkie ekstrema nieustanie się w niej łączyły, jakby była ciągłą kolizją.

ZOSIA: Czy stać mnie tylko na takie istnienie, jakie wymyślą mi wielmożni państwo?

ŚLED CZY: Będziemy rozczytywać znaki, krzywo zrośnięte złamania, wybite barki, asymetrie, oparzenia palców, co chciały więcej niż inni sprawdzić. Będziemy otwierać puszki Pandory i wszelkie nieszczęścia witać z ciekawością, jakby były tylko wytęsknionym scenariuszem, który zrealizujemy i tak po swojemu.

ZOSIA: Jak się wydostanę z tego nędznego obrazu, skoro nie potrafię sama przedstawić swojej wersji własnej, swojej opowieści, skoro cały czas zajmuje mi walka, żeby jakoś przetrwać kolejne minuty, żeby przemknąć nad sobą samą po cichu, nikomu nie przeszkadzając pogрузić się w praniu, w ziemniakach, w ciemnej piwnicy na węgiel. Moja głowa jak ciemna piwnica na węgiel,

dół na odpady, brama kamienicy. Jak mam się stać pierwszym planem, pomiędzy ściąganiem butów, podawaniem kapci a czyszczeniem naczyń srebro-podobnych, bo w tym wnętrzu nie ma nic, co nie było by podróbką. A jednak zawsze bardziej pociągały mnie falsyfikaty, może dlatego, że nie śmiałam marzyć o oryginałach. Panicz przychodzi już pierwszej nocy, niby tylko popatrzeć jak się podmywam, zresztą w zimnej wodzie. Udam, że go nie widzę, któż by chciał się narazić od razu, pierwszej nocy, zwłaszcza, że trzy poprzednie na klatkach schodowych i dworcach przedrzemałam sama.

ŚLEDCHY: Dlaczego panicz już pierwszego dnia zakłóca spokój służby?

PANICZ LUDWICZEK: Bo mogę ulec instynktom od razu lub stawiać im opór, oto jest pytanie. Jestem onanistą, nic nie pomaga, ani kościół, ani spowiedź, ani idea narodowa nie jest w stanie mnie podźwignąć. Brzydzę się sobą, może bardziej swoją teraz samotnością. Wszystko, co piękne, należy do kogoś innego, mogę próbować to wyrwać tylko siłą. I wrywam, a potem trzeba założyć kraty i milczeć w imieniu tych, co i tak nie mówią. Chciałbym być tą wodą, i tak się rozchlapać na niej, żeby mnie potem wytarła w brudny ręcznik, chciałbym być tą brudną bielizną, tym trzewikiem.

ZOSIA: Kiedy jestem pięknie widziana, zaczynam stanowić dla siebie pierwsze zagrożenie. Czego mnie panicz straszy o tej porze?

PANICZ LUDWICZEK: W poradniku nakazują zwracać uwagę na czystość bielizny służącej, kucharki, nawet praczki dochodzącej.

ZOSIA: Nie dalej jak trzy dni temu prana.

PANICZ LUDWICZEK: Czy mogłaby mi Zofia nalać szklankę wody z tej z miednicy?

ZOSIA: To brud i mydliny. Zaraz przez okno chlusnę.

PANICZ LUDWICZEK: Twarz sobie tylko zamoczę, nic więcej.

ŚLEDCHY: W kontraktach, owszem, widnieje możliwość inspekcji pokoju służby przez wielmożnych państwa bez uprzedzenia, ale w tym wypadku nie mamy ani pokoju, ani odpowiedniego organu nadzoru, żeby taka sytuacja mogła mieć miejsce zgodne z umową lub tradycją.

ZOSIA: Nie chciałam za nic w świecie wracać do wsi. Z niewoli u matki do niewoli u męża i bydła.

PANICZ LUDWICZEK: Ja tak sobie czasem przyjdę popatrzeć, nic więcej. Nie powiem nikomu. Zosia to polubi, zobaczy Zosia, że za niedługo nie będzie się mogła przebrać bez czyjegoś wzroku. Jeszcze będzie zasłony rozsuwać i czekać, czy wrócił z kancelarii pan adwokat z okna

naprzeciwko. Niech mnie Zosia opłucze wreszcie swoimi brudami, niech mi położy tu rękę na trzydzieści sekund, wystarczy, nic więcej.

ZOSIA: Nie miałam wyboru, a może mi się to tylko zdaje – w kuchni zawsze najwięcej dwutlenku węgla od pieca – może to halucynacja. Trzeba spać przy otwartym oknie, otwartej żrenicy. Trzeba być na jutro, na pojutrze gotową i czystą. Dziś jestem tylko brudnopisem.

PANICZ LUDWICZEK: Będę stał w progu z notatnikiem i szkicował jak służba śpi.

WIELMOŻNA PANI: Czemu stoisz w drzwiach zamiast odpoczywać, boli cię coś, coś cię niepokoi, dać ci brom albo luminal?

PANICZ LUDWICZEK: A potem namaluję jak wstaje z łóżka, jak je, jak opróżnia nasze naczynia nocne, jak szoruje, jak łąta bieliznę. Nie widziałem w żadnym albumie malarskim takiej pracy.

WIELMOŻNA PANI: Mi też jej oddech nie daje zasnąć, zbyt żywy, zbyt zdrowy, łapczywy, jakby połykała powietrze, chcąc je zatrzymać na zapas. Takie jak ona cały czas planują, co zrobić na zapas.

PANICZ LUDWICZEK: Na moim rysunku wciąga w siebie razem z powietrzem kurz i popiół z całego mieszkania, muchy z parapetu, nawet ptaki, co się rozbiły o szybę, a może i mnie wciągnie.

WIELMOŻNA PANI: Pod względem higieny i dyskrecji pewniejsza od starszej. Spójrz na stopy, choć wielkie, względnie niezrogowaciałe, niezniszczone, jak na taką, co chodziła boso przez lata.

PANICZ LUDWICZEK: Na moim obrazie będzie miała zamiast stóp płetwy.

WIELMOŻNA PANI: Kolana niepoobijane jak na tak długą wędrówkę, ramiona gładkie, pod paznokciem szkiełko jakieś.

PANICZ LUDWICZEK: Nie chcę widzieć więcej, łapie mnie skurcz, atak litości do siebie i wzgardy, nie mogę się skupić na obiekcie, ręka mi się trzęsie nawet z ołówkiem. Nic mi się nie udaje.

WIELMOŻNA PANI: Nie bój się twardego snu wieśniaczki, pewnie całe życie w pełnej izbie spała, pewnie koło niej, a może i na niej odbywała się niejedna wiejska uroczystość.

PANICZ LUDWICZEK: Najchętniej zakleiłbym sobie te tłuste wargi, wbił igłę w język, kiedyś przynajmniej bywałem spragniony, gorący.

WIELMOŻNA PANI: Lekarz jest pewien, że syn ma przed sobą nie więcej niż rok, góra dwa lata. Coraz słabiej chodzi, boi się wyjść na świeże powietrze. Miał studiować, pięknie maluje, pisze, a teraz rusza się z sypialni tylko jak stworzę jakiś powód, jak go podstępem zachęcę. Tak rzadko budzi się w nim choćby najmniejsza pasja, iskra. Chłopiec wie, że nie będzie mu dane wyszumieć się w cukierniach, operach, w plenerach. Z taką Marysią, czy Józią, sama rachunki wyrównam za każdą godzinę, tam skąd przyszła nikt jej nic nie rekompensował. Umowę najpierw zawrzemy na kwartał, a potem się zobaczy, co dalej, jak się nam będzie razem współżyło.

ZOSIA: Nie mam wyboru, każda oferta jest do przyjęcia, tak musi być, każda sytuacja do rozwinięcia, tak musi być. Człowiek może całe lata udawać że śpi, aż w końcu nie będzie nic wiedział i nic pamiętał. Nie mogę do wsi wracać, tam za dużo pamięci, tam się nie dało zasnąć, ani nic udawać.

KUCHARKA WOJCIECHOWA: „Zacznijcie wargi nasze sławić Pannę Świętą, zacznijcie opowiadać cześć Jej niepojętą, przybądź mi miłościwa Pani ku pomocy, a wyrwij z rąk nieprzyjaciół mocy.” To nie ja powinnam pierwsza być na nogach, czysta i ubrana, już po piątej dwadzieścia siedem. Nie ja powinnam czekać aż się rozdzwonią dzwoneczki od pani wielmożnej i pana. Powinny czekać na mnie produkty na stole, i powinno być już dawno ciepło w izbie. Czy ja równa tobie, żebyś przede mną w samej koszuli siedziała?

ZOSIA: Zniosę każde upokorzenie, uderzenie, potrącenie potrafię przetrwać, ale czy to jest życie warte pokazania?

ŚLEDCHY: Też nie umiem szanować swojej opowieści, próbuję w cudzych aktach szukać utraconych części, prowadzę zawsze takie same sprawy i zawsze sobie mówię, że ostatnia, a potem pierwszy stawiam się przy zwłokach noworodka, ale nie przy każdej potrafię się, tak jak tu, zatrzymać.

ZOSIA: Co mi z tego szarpania, z tego przetrwania w końcu przyjdzie, jaka zapłata? Co tobie z tego całowania po rękach, proszenia się o wszystko, całowania za wszystko przyszło?

KUCHARKA WOJCIECHOWA: Jakich ja się zagranicznych produktów przy gotowaniu napróbowałam, jakie mi pani wielmożna koleczki na rocznicę daje! Mam swoje miejsce przy stole, pokój i spokój na starość obiecany przez panią, na piśmie gwarantowany.

ZOSIA: Ochłapy za sumienne obchodzenie się z dobrem państwa. A gdzie twoje własne dobro?

KUCHARKA WOJCIECHOWA: Pilnuj swojego cierpienia. Pielęgnuj, podlewaj, nie próbuj obracać w palcach i wygładzać. Nie próbuj z nim walczyć, ani chcieć wygrywać. Święte będą kobiety, których cierpienie zostanie uznane za godne, których opór skuteczny, że zrobi z nich męczennice, którym udało się uszlachetnić przez ciosy i rany, które z ran robiły korony i wieńce.

ZOSIA: Pokaż mi te korony twoje, które przez dwadzieścia lat posługi uzbierałaś?

KUCHARKA WOJCIECHOWA: Współpraca z istotami tak nieokrzesanymi, prymitywnymi, choć mam nadzieję podatnymi chociaż na niewerbalne komunikaty, wymaga nie lada siły woli, opanowania, cierpliwości, samodyscypliny. Człowiek się cały czas powstrzymuje, a potem go pobolewa, to w biodrze, to w karku, to w krzyżu.

ZOSIA: Choćby nie wiem co z moimi członkami fizycznie robili, nie dam się do takiego jak ty niewolniczego życia wewnętrznego sprowadzić.

KUCHARKA WOJCIECHOWA: Kosiarka, pralka, odkurzacz wydaje dźwięk, kiedy pracuje. Na szczęście taką do wszystkiego już po paru dniach się przestawia na program cichy – sama się przestawia.

ZOSIA: Rozkaż mi teraz, co ci się podoba, mam pranie cały dzień robić – będę, mam nosić węgiel na cały tydzień – proszę bardzo, mam szorować nocniki i wiadra – jak najbardziej.

ŚLED CZY: Czy w służbowce starszej Wojciechowej też się odbywają niezapowiedziane inspekcje?

KUCHARKA WOJCIECHOWA: Są kobiety, na które nie śmie się w ten sposób patrzeć, którym nie śmie się przerywać pacierza.

ŚLED CZY: A czy Zofia ma coś swojego, w czym nikt się nie waży przeszkodzić?

PANIENKA ANULKA: Powinnyście nas obie okraść i uciekać szybko, póki macie sprawne nogi. Nic was dobrego tu, z takimi jak my, nie może spotkać. Ja bym na waszym miejscu zatrudniała się w różnych miastach i okradała co okazalsze domostwa, dworki, kamienice. Jak inaczej jakąś sprawiedliwość zaprowadzić, jak choćby odrobinę niezależnej godności zachować może osoba na waszej pozycji, z waszą perspektywą? Jak ma przestać być tak upokorzona jak tylko Ewangelia mogła wymyślić? Albo jak ma nie skończyć jako niezależna jednoosobowa działalność uliczna, uwieczniona na koniec zawsze syfilisem? Jak uniknąć przytulisk czy poniżających, brzemiennych powrotów do czegoś, co z nawyku nazywacie domem?

KUCHARKA WOJCIECHOWA: Jak panience z ust mogą wychodzić frazy nawet służby niegodne przecież!

PANIENKA ANULKA: Jeśli się nie przychylacie do mojej propozycji, to do roboty, szybko! Stara ojcu guziki pozapinać, a ty Ludwiczce przykleić plaster przeciwbólowy i co tam będzie sobie życzył więcej. A potem do kąpieli, obie w tej samej wodzie.

KUCHARKA WOJCIECHOWA: Przecież ja tylko w wodzie po panience.

PANIENKA ANULKA: Zabrałam ojcu klucz do sejfu. Daję wam ostatnią możliwość stania się wolnym, myślącym, samodzielny człowiekiem.

KUCHARKA WOJCIECHOWA: Nie wstyd panience tak się uwewnętrzniać emocjonalnie w obecności służby, w dodatku świeżo nabytej?

PANIENKA ANULKA: Ty już pewnie nigdy nie zrzucisz skóry niewolnika, ale młoda ma jeszcze szansę nie utknąć w roli sprzętu domowego.

ZOSIA: Nie ma gdzie uciekać. Nie mogę wrócić. We wsi za wszystko biją i to nie tylko kijem, ale czym popadnie. Służba z krowami śpi, a do stajni każdy wchodzi, nie tylko za potrzebą. Gospodarz straszył, że jak krzyknę, to mi kosą uszy obetnie – jedno mam tu naderwane od szarpania. Straszył, że jak pisnę słówko, to mnie pokroi i w parniku ugotuje razem z ziemniakami dla świń, bo świnia wszystko zje.

WIELMOŻNY PAN: Trzeba wiedzieć, komu się daje niezależność i samodzielność, i czy ten obdarowany wie, jak się tym darem ewentualnie posłużyć. Nawet człowiek wykształcony się nieraz pogubi. Nie złożyłbym tego aeroplanu bez instrukcji, tak samo i służba bez instruktora obsługi to tylko pogubione części, zupełnie bezużyteczne, w dodatku w nadmiarze zbędne.

ZOSIA: Czekam na dyspozycje, niech się mój czas fizycznie wypełnia. Sprzątanie jak rola, nigdy nie jest dość gotowa, nigdy się nie kończy, a tylko zaczyna. Chcę się już zacząć, zacząć i zacząć.

WIELMOŻNY PAN: Uzupełnić węgiel, ile się zmieści i duże bryły pokruszyć w rozsądnej wielkości kamyki. Dni będą coraz krótsze i coraz zimniejsze.

ZOSIA: Jestem szczęśliwa, że jestem na świecie, że może jeszcze na coś się przydam, gdzieś dojdę z tym wiadrem na węgiel dalej.

ŚLEDCHY: W codzienności zdarzenia zlewają ze sobą się jak nieczystości w dołach kloacznych, do których można zrzucić różne ciężące dowody, tajemnice i już się nie odróżni, co jest czyje, które zdarzenie wywołało które. Dopiero coś musi poważnie odstawać od reszty, żeby zwykle, codzienne wiadro, szmata, szyba, miednica, pierzyna odsłoniły ślady, wgniecenia, rozdarcia, pęknięcia, żeby zaczęły opowiadać to, co domownicy pragną zakryć lub przemilczeć. Zaczniemy od tego, dlaczego na posłaniu Zofii da się wyraźnie zobaczyć nie jedno lecz dwa wgniecenia, i to w dodatku bardzo blisko siebie?

ZOSIA: Mama powtarzała: jak dostanę w gębę, to się nauczę grzecznie odpowiadać.

KUCHARKA WOJCIECHOWA: To się od początku czuje, która daje ciche przyzwolenie, proszę spojrzeć jak ona trzyma tę miotłę. Czy jej zamiatanie jest o zamiataniu? Jak głowę nachyla, jak dyskretnie wypina raz pierś, to znowu pośladek. Czy zdrowy mężczyzna, nawet jak się

wzbrania, w końcu nie zwróci uwagi, mimowolnie nie zareaguje? Kotka dyskretniej daje kotom znaki.

ZOSIA: Nikt mi nie powiedział, że trzeba zamykać usta przy jedzeniu, sama lubię se popatrzeć, jak w gębie jedzenie zostaje poddane obróbce.

KUCHARKA WOJCIECHOWA: Jak się może człowiek wśród takich westchnień i gwałtownych sapań skoncentrować na lekturze?

PANICZ LUDWICZEK: Przeraza mnie dążenie do przesadniej czystości powierzchni, atmosfery, intencji.

PANNA ANULKA: Dobra siostra patrzy przez szparę, jak dla podratowania zdrowia jej brat skrada się ponownie do kuchni, tym razem posunie się dalej niżby się sam spodziewał, niżby się sama spodziewała.

PANICZ LUDWICZEK: Po raz pierwszy od początku choroby chcę mieć coś, czym się będę do znudzenia cieszył.

PANNA ANULKA: Obawę służby musi przykryć refrenem piosenki:

PANICZ LUDWICZEK: "Będziesz zbierać kwiaty
Będziesz się uśmiechać

...

I ty tylko ty będziesz moją panią".

Obiecałem że pomogę służbie zaprowadzić w jamie ustanej ład i dyscyplinę. Zebrała jej się ropa pod zębem mądrości, a zęby to nie tylko nasza prywatna sprawa. Każdy czuje, kiedy z zębem jest coś nie tak, niedobrze to robi przy podawaniu posiłków i lekarstw.

ZOSIA: Z państwem załatwiamy sprawy w pozycji stojącej, niepytane milczymy, nie kwestionujemy zaproponowanych procedur, nie sprzeciwiamy się poleceniom, nawet jak ich dobrze nie rozumiemy.

PANICZ LUDWICZEK: Niedługo nauczysz się lubić dodatkowe obowiązki. Miłości nikt nie lubi tak od razu, z czasem człowiek się otwiera, uczy, sam nawet nie zauważa, kiedy już się nie może bez miłości dłużej niż dwie doby obejść.

ZOSIA: Panicz dziś bez zeszytu i bez ołówka, bez dolnej części garderoby.

PANICZ LUDWICZEK: Zębem zajmujemy się przy dziennym świetle. Teraz niech się Zofia nie rusza i trzyma głowę na wyciągnięcie ręki lub dalej.

ZOSIA: Panicz prosi, czy może sprawdzić, czy mu choroba pozwoli coś innego oprócz bólu poczuć. Włożył mi w usta zioła święcone – nad progiem wisiały, żeby domostwo od piorunów chronić.

KUCHARKA WOJCIECHOWA: Wyznam od razu, że większość z nich używa się na spędzenie płodu, jest to wiązanka starannie dobrana.

ŚLEDCHY: Zdaje mi się, że Zofia pozoruje opór, by doprowadzić akt płciowy do pożądanej temperatury, do efektu, który według Boya Żeleńskiego dla obu stron najbardziej zdaje się być satysfakcjonujący.

ZOSIA: Nie miałam wyboru. Nachyliłam się nad piecem, zacisnęłam mocno bolące zęby, bo nie tylko pod mądrości ropa, jeszcze pięć innych się rusza. Nie wrócę do bydła, do kłótni o morgi i miedzę, do wideł i kija. Na wsi nikt przy tym nie całował, a panicz żadnej części nie omija. Za parę tygodni mają doprowadzić do budynku kanalizację, nie będzie trzeba z wiadrami tyle gonić. We wsi jedną parę butów z sześcioma siostrami dzieliłam, a tu już mi wielmożna pani drugą parę lakierów obiecała na wiosnę.

PANICZ LUDWICZEK: Odsuń głowę ode mnie, ale tu się tyłem przysuń bliżej. Głowę możesz na chwilę do kuferka włożyć, albo za okno wystawić. Następnym razem musisz się lepiej wykapać, może wystarczy lepiej podetrzeć – sam nie wiem.

ZOSIA: Jak ta ścierka, cały brud w siebie wsiąknę, zbiorę okruchy każdej obecności. Przygnieciona nadgodzinami własnej uległości. Zresztą nie wiadomo, jakbym się miała zabrać do tego wyzwalania i w sumie po co, dla kogo?

PANICZ LUDWICZEK: Zapomniałem, jak się można cieszyć szczodrym ciałem. To wiejskie ciało na receptę powinni wydawać, to nie jak te tutejsze blade, słabe, które przy byle silnym porywie żądy może człowiek uszkodzić, połamać. To ciało wytrzymałoby wszystkich przyjaciół z akademika, ale ja się nie mam zamiaru podzielić.

ZOSIA: Po wszystkich panicz poprosił, żebym wytarła kurz w jego pokoju i szafie, bo go kaszel łapie, a potem jeszcze przeparała mu bieliznę, żeby mu na rano wyschła. A moja bielizna z miesiąca na miesiąc pozostawała czysta. I żadne zioła i modlitwy, ani do świętej Zyty, ani do błogosławionej Anieli nie pomagały, mimo że się detergentem do rdzy i octem co wieczór płukałam. Aż mi się jedna wielka rana zrobiła i nie mogłam wcale siedzieć, a panicz przychodził i odchodził zostawiając za sobą coraz więcej do sprzątnia.

WIELMOŻNA PANI: Wyniki krwi, jak i rentgen syna, zaczęły dawać nadzieję, dom wypełnił się nowymi pragnieniami, planami. Przed Wielkanocą służące dostają nowe koszyki, i po chuście z haftem każda.

ZOSIA: Ja pod stołem dostałam jeszcze jedwabne pończochy.

ŚLEDZCY: Czyli nie zgłosiła Zofia nigdzie incydentu, a wręcz pozwala, żeby on się powtarzał, rozwijał i przeinaczał – i tak mało szanowaną profesję domownicy – w to, z czym się ona niestety większości obywateli haniebnie kojarzy.

ZOSIA: Nie miałam wyboru, wszyscy wokoło przymykają oczy, to i ja przymknęłam.

PANNA ANULKA: Przede mną nic nie da się ukryć. Wszystko widzę przez ściany, przez odzież. Słyszę ojca problemy jelitowe, matki osteoporozę – usłyszałam od razu, kiedy brzuch Zofii zaczął się odzywać, tylko ja zauważyłam, że coś się tam zaczyna poruszać. I tak ją objęłam znienacka. Co tak Zosię wzięło w pasie?

ZOSIA: Woda w brzuchu, w płucach, po matce i babce za dużo wilgoci w środku. Woda się zbiera i człowiek pęka jak babka nieboszczka, albo topi człowieka od środka i wtedy krztusisz się i plujesz latami.

PANNA ANULKA: Czuję, że coś pływa w środku, wcale nie małego

ZOSIA: Ostatnio, co miałam pod ręką, połykałam. Nie chciało mi się z każdym śmieniem iść do kosza.

PANNA ANULKA: A te kamienne płyty, po co Zosia chowa pod schodami? Nie dość Zosi węgiel dźwigać i wodę na pranie?

ZOSIA: Pomyślałam, że się mogą przydać. Ze starego cmentarza kamień drogi, szlachetny. Pomyślałam, żeby nim tę ścianę i może drzwi uszczelnić w służbówce.

PANNA ANULKA: Zosia niech lepiej nie myśli, już dość pomyślała.

ZOSIA: A gdyby mi panienka pomogła te płytki na brzuchu poukładać jedna po drugiej, a potem na chwilę usiadła, może by mi się tej wody ułalo po trochu.

PANNA ANULKA: Zawsze powinni zostać ludzie, w których nie dokonuje się postęp, do których można wrócić jak do krainy dzieciństwa, jak na strych z popsutymi zabawkami, które chce się rozkładać na części i na nowo składać.

ŚLEDZCY: Zofia S. od początku zdaje się stawać dobrowolnie poligonem najróżniejszych działań eksperymentalnych.

ZOSIA: Nie stać mnie, żeby pójść do babki, ani nie stać mnie, żeby się to rozwinęło w przyszłość. Nie mam gdzie takiej przyszłości nijak ulokować.

ŚLEDCHY: Na tej bezgranicznej uległości możemy wypróbować każdy obraz, każdy podszept pragnienia, nadszarpnąć granicę wszelkiej wyobraźni.

PANNA ANULKA: Niestrudzenie staram się stawać choć na chwilę w miejscu moich towarzyszek. Trzymam w szufladzie gęsie pióro, gumową rurę, papier ścierny z trutką, nożyce, druty, jodynę, kwas karbolowy, spirytus. Nie miałam niestety okazji skuteczności tych środków nigdzie wypróbować.

ZOSIA: Ja to i tak terytorium bezprawia, niezaznaczone na żadnych mapach. Może się dowolnie kończyć i zaczynać. Nie zostawię po sobie listów, nie umiem pisać nie i mam do kogo.

PANNA ANULKA: Zrobię wszystko, żeby nic nie było przeżywane nadaremnie.

ŚLEDCHY: A jak mogłyby wyglądać twoje pamiętniki?

ZOSIA: Kazała mi położyć się na prześcieradle na podłodze – zdążyłam jeszcze przetrzeć parkiet na szybko – nogi tak rozstawić szeroko, jak się tylko dało i poświeciła lampką, żeby określić, który rodzaj narzędzia najlepiej do mojego przypadku pasuje. Wskazówki czerpała z któregoś numeru „Wiadomości Literackich”, chyba z roku 1932.

PANNA ANULKA: Mam wrażenie że odtwarzam sceny, które się już odbyły tysiące razy, dawno, dawno temu. I teraz, w tej chwili, non stop, równolegle dzieją się w tysiącach piwnic, w nielegalnie podnajętych pokojach w pustostanach. W tej chwili setki innych, raczej niepodobnych do mnie, odkazają drut, nożyce, rurkę, których nie sposób nigdy zupełnie odkazić.

ZOSIA: Umyła mnie gorącą wodą i najpierw kawałek mydła szarego wsadziła mi w organ płciowy, ale ten zaraz wypłynął, po czym wzięła na pół łokcia nożyce, a ja się trochę wystraszyłam i odruchowo odsunęłam, po chwili uspokoiłam się, a ona wprowadziła mi te ogromne nożyce w ujście maciczne.

PANNA ANULKA: Z każdym następnym zadaniem tracę równowagę. Ręce mi się trzęsą, wystarczy jeden nerwowy ruch, żeby przebić, albo uszkodzić jakiś organ. W tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym połowa zabiegów kończy się zgonem z wykrwawienia.

ZOSIA: Wcale tych nożyc w sobie nie poczułam, takie tylko ugryzienia komara, albo uszczypnięcia.

PANNA ANULKA: Nie wiem jak operować tymi nożycami, za tępe chyba, żeby całą zawartość wyciągnąć. W ogóle nie chcą się otwierać, jakby nagle zardzewiały, a moje ręce zrobiły się ciężkie, bezwładne.

ZOSIA: Zniosę każdą próbę, każdą procedurę. Nie mogę wracać do wsi, podrzucić nie mam komu.

PANNA ANULKA: Staram się delikatnie wybadać przeszkodę, nic jednak nie mogę wyczuć, ruchami kolistymi przeszukuję pole, jak pisali w podręczniku. Nic nie ma, nożyce czyste, z łyżką ani drutem sobie nie poradzę.

ZOSIA: Panienka przyniosła pompkę do rowera wymoczoną w spirytusie. W pierwszej chwili mam wrażenie, jakby się we mnie wiatr halny rozszalał i wichura śnieżna.

PANNA ANULKA: Tylko mi się nie wierć, i nie napinaj. I tak wszystko stawia niepotrzebny opór. Zaśpiewaj coś sobie do św. Anieli czy Duli, czy tej waszej Zyty.

ZOSIA: Pompka ma odwrócony mechanizm, nastawiony na ssanie. Słysząc na cały pokój jak próbuje ze mnie wyssać smutne konsekwencje smutnych odwiedzin, jak mnie próbuje ocalić od tego, co i tak wcześniej czy później zda się być nie uniknione.

PANNA ANULKA: Za późno. Będzie trzeba próbować inaczej, ciężką pracą, ziołami, płukaniem jodyną, mydlinami. Może trzeba skoczyć z wysokiego parteru, albo niefortunnie się stoczyć ze schodów. Albo trzeba podpytać o inne metody, adresy, sposoby. Kiedyś otworzę muzeum starych narzędzi, sposobów, podziemnych procedur, za pomocą których byliśmy zmuszone sobie same radzić, same w brudzie krwawić, skazane na wieczne „trzeba czekać, czekać, czekać“.

ZOSIA: I czekam, robiąc codziennie z czegoś innego płukanie, pijąc zioła, różne detergenty a brzuch pod fartuchem wzbiera, mimo że go taśmą stolarską ściskam z całej siły.

PANNA ANULKA: Będę zmuszona zapomnieć, odwracać głowę, odwracać uwagę od jej gabarytów. Mam tu takie poduszki, wycięłam z rękawów płaszcza: Niech sobie Zosia włoży w stanik, wtedy się brzuch nie będzie nachalnie odznaczał. Niektóre do końca potrafiły się bezpiecznie maskować. A może dobry los sam problem rozwiąże przed czasem?

ZOSIA: We wsi powtarzają: Lepiej zawczasu topić te szczenięta – ale ja już nie mam przed sobą zawczasu.

WIELMOŻNY PAN: Kończy nam się okres próbny, a my się nawet nie zdążyliśmy naszej Kasi dobrze przyglądać. Czym bym ją odróżnił od poprzedniej, a czym od następnej?

ZOSIA: Przestrzeń nagle zaczęła się kurczyć, czas nie zaczął być bardziej przewidywalny, nie wiadomo czym go odmierzać, wizyty panicza sporadyczne, mniej zaangażowane, bez kwiatów.

ŚLEDCHY: Zdaje się wielmożni państwo nie lubią zdarzeń, które zbyt łatwo mogłyby zostać uznane za fakty.

WIELMOŻNA PANI: To prawda, raz do roku, może do półtora, najczęściej przed zimowymi świętami robimy generalne porządki. Pozbywamy się wszystkiego, co zużyte, przedarte, co zdążyło nam się znudzić lub przytłoczyć nas swoim nadmiarem.

WIELMOŻNY PAN: Najczęściej rzucamy worki na dziedziniec kamienicy, patrzymy przez szybę jak się zbierają dziewczki, nie tylko służebne, i biorą, co im zabłysszczy, zaszeleści dobrym materiałem. Od razu się lepiej robi człowiekowi na sumieniu jak widzi, ile radości może sprawić innym swoim prawie nienoszonym szalem, modną kiedyś peleryną. Czasem celuję z góry cukierkami, albo im nową parę pończoch dorzucę, żeby sobie pooglądać, jak potrafią walczyć między sobą, jak się za włosy targają, byle zdobyć smakowity towar, dzięki któremu nogi służącej przestają czuć się jak nogi służącej, nabierają nadziei na niedzielę, na kino, na cukiernię, na miękkie sofy, na przyszłość bez wiadra i miotły.

ZOSIA: I ja w te pończoszane nóżki również uwierzyłam. Miały zanieść tam, gdzie panicz pokazywał na własnoręcznie narysowanej mapie. Były tam piętrowe sklepy, domek nad jeziorem, stół nakryty swojską wędliną.

PANICZ LUDWICZEK: Wolno nam wiedzieć o służbie wszystko, wolno mi ją sobie dowolnie zaplanować. Kuracja przynosiła efekt, krew moja stała się bardziej czerwona, guz w wątrobie zaczął się gwałtownie zmniejszać.

ZOSIA: Podczas gdy guz w brzuchu Zosi wzrastał skokowo, aż nie było z nim jak uciekać. Nie mieścił się pod schodami, ani w kuferku, ani w popielniku. Nie mogłam go już zostawić na zewnątrz, ani wciągnąć w siebie.

WOJCIECHOWA: Radzę jej uciekać szybko, ale bez rozgłosu, żeby nie dać powodu do niesławy niczyjej i narażenia na utratę też godności własnej.

PANICZ LUDWICZEK: Nie zauważyłem, żeby chorowała, jedynie nosiła na raz trzy gorsety, co nadawało pośladkom nieprzyzwoite rozmiary. Natykałem się na nią sporadycznie, na szybko, tylko nad zlewem w kuchni, na schodach do piwnicy, gdy Zofia była zajęta szmatą, szczotką albo pogrzebaczem. Wtedy jej zad otwierał najspektakularniejsze możliwości.

ZOSIA: Chciałam zniknąć w brzuchu, razem z całą zawartością się wylać i choć raz naświnić w tym nieustannie polerowanym apartamencie. I tak się zaciągałam bez skrępułów gorsetem, sznurem do bielizny i taśmą stolarską naraz, aż w końcu coś się zaczyna sączyć, wylewać, tryskać niczym fontanny ze szkiców panicza.

PANICZ: Myślałem, że celowo oddała mocz na moje opuszczone bryczesy, że chce zaznaczyć ukochany teren, który i tak zaraz zacznie przed nią znikać.

ZOSIA: Skurczów nie da się uspokoić, zatrzymać. Gdzie mnie prowadzą, do czego? Niszczą staranie nauczone choreografie, rozkład dnia, który daje spokój i bezpieczeństwo. Nie teraz, nie tu, nie tak.

ŚLED CZY: W jakiej pozycji Zofia rodziła: stojąc, leżąc, kucając czy siedząc?

ZOSIA: Świtem, 19 kwietnia, poczułam fizjologiczną potrzebę wypróżnienia. Skorzystałam z tego wiadra, nie byłam w stanie dalej dobiec, kiedy poczułam, że zaraz wydalę z siebie jakiś większy, okrutniejszy obiekt, wstałam. Reszta odbyła się na stojąco, w moim życiu wszystko odbywało się przecież dotąd na stojąco.

ŚLED CZY: Czy poród odbył się potajemnie, całkiem w samotności?

ZOSIA: Zdążyłam przygotować sobie to lusterko, żeby obserwować, czy pojawia się już głowa. Stanęłam nad lustrem, o tak, w rozkroku. Porwałam z sieni jeszcze ścierkę i koszyk. Kiedy tylko głowa zaczęła ze mnie wystawać, jakby chciała tak na zawsze, tak boleśnie utkwic, szarpnęłam ją dwoma rękami w miarę delikatnie. Za nią pojawiło się całe ciało niewielkiej wagi i wielkości. Uderzyło sobą trochę o podłogę, krzyknęło chyba. Pępowinę przegryzłam, poczekałam aż wypadnie łożysko. Zniosłam je szczerem do piwnicy, bo tam miałam pewność, że nikt poza nimi nie zagląda.

PANIENKA ANULKA: W tym czasie matka, jak co któryś dzień, też przed lustrem, okładała się po twarzy. O! Tak jak teraz, zmieniając przy tym światło na coraz to mniej dla swojego odbicia korzystne. Nie śmiej jej zatrzymać, widocznie musi sobie coś wymierzyć.

KUCHARKA WOJCIECHOWA: Tak, to było bodaj tej właśnie kwietniowej, wielkopiątkowej nocy w mojej izbie. Pierwszy raz przed tym tu obrazem świętej zadałam sobie ciosy mokrą szmatą przez plecy, o tak. Wcześniej oczyściłam piec z popiołu do wiadra, na którym teraz usiadłam, o tak, niemal na gołe ciało, żeby się jakoś z Męką Pańską zjednoczyć, ale nie chciała z ust wypłynąć pieśń pokutna, żałobna modlitwa oddania. Wyobrażałam sobie, że jak świętą Dulę pan wielmożny chce mnie siłą wziąć, wulgarnie, bez słów, bez przygotowania, a ja się tak bronię, że mnie w końcu dusi, a przed oczyma agonalnie wypływającymi, pojawia się anioł z koroną złotą, koszykiem i miotłą.

PANNA ANULKA: W tym czasie ojciec twardo śpi. Słyszę, jak jego pot kapie przez materac. Ludwiczek słucha przez słuchawki *The Lady Is A Tramp* i nuci po cichu, wkładając sobie ołówek głęboko do gardła, jakby chciał wyciągnąć włos, albo inny ślad ludzki.

ŚLED CZY: Czy na czas, szczelnie i mocno, zawiązała Zofia pępowinę?

ZOFIA: Zawiązałam na dwa centymetry i włożyłam niemowlę w koc i do koszyka. Umyłam podłogę, umyłam się tą samą wodą, nie chciałam iść do studni, żeby nikogo nie budzić. Dziecko nie

płakało, odniosłam je do kamienicy pół kilometra dalej, wcześniej szybko nakarmiłam. Na drugi dzień świtem poszłam do tej kamienicy sprawdzić – było, jak zostawiłam.

ŚLED CZY: Czy sprawdziła zatrzymana pleć?

ZOFIA: Nakarmiłam, przeniosłam do kościoła, a potem nawet tu w piwnicy było jedną noc, ale płakało. Obudziło wielmożnego pana, że aż do kuchni zeszedł i powiedział, że jak jeszcze raz zapomnę zamknąć okno od strony południa, to skończę tam – i pokazał mi przez okno pustą, nieoświetloną drogę.

ŚLED CZY: Czy ta droga prowadzi do lasu?

WIELOMOŻNY PAN: Pięć godzin zasypiałem. Akurat jestem bardzo czuły na nowe dźwięki w okolicy, akurat nie lubię jak się w nocy urządza wietrzenie.

ŚLED CZY: Czy tą drogą poszła zatrzymana?

ZOSIA: Zeszłam do piwnicy z koszykiem, wyciągnęłam je i owinęłam w moją jedyną jedwabną chustkę, co od panicza potajemnie dostałam. Włożyłam do koszyka i poszłam prosto przed siebie, bez celu. Zobaczyłam kupkę ziemi, odznaczającą się na polanie, oznaczyłam ją jeszcze moją rękawicą do czyszczenia naczyń nocnych. Pomyślałam, że może mrówki to mądre zwierzęta, że popilnują zawartość koszyka, że kogoś przyciągną, że jutro przywołają wędrowca, że sobie weźmie, co ja zostawiam, że może go dar ten uszczęśliwi, jak tych, co przygarniają z lasu psa lub kotka. Wyciągnęłam je z koszyka, zabrałam chustę, zabrałam koszyk, jeszcze się może ze dwa razy wróciłam, może nie, nie pamiętam. Naokoło wracałam, przed świtem, żeby raz na zawsze zgubić drogę, którą można by się codziennie wahać, wte i wewte krążyć. Nie miałam wyboru. Nie mogę ani z koszykiem, ani bez do wsi wrócić. Nie mam wyboru. W kuchni został nieporządek, kucharka nie ma jajek i kaszy, a panicz na śniadanie zamówił jajka z leguminą, to może pierwsze po jajka wstąpię. O Boże, jest koszyk, jest czas, żeby się na ostatnim straganie zatrzymać. Jak się lekko idzie, jak słońce przepięknie pierwszy raz tej wiosny wschodzi. Dziś Wielka Sobota, święcenie. „Pan nasz nie żyje, nie widzi, nie słyszy niczego“ – tak gadali we wsi, żeby wtedy sprawy najbrzydsze przed rezurekcją pozalać, że każdy raz w życiu ma prawo łaski, w lesie też już pewnie się rozjaśnia, pewnie zaraz ktoś płacz usłyszy. Nie miałam wyboru.

ŚLED CZY: „Idź do mrówek leniwce, patrz na ich drogi. Bądź mądry, nie znajdziesz tam zwierchnika, ni stróża żadnego, ni pana, mrówka w lecie gromadzi swą żywność i zbiera swój pokarm we żniwa”¹. Mrówki nie od razu biorą się za ciało, najpierw muszą zaufać, że nie ma tam trucizny, podstęp. Muszą rozpoznać robotnice, czy aby jedzenie nie za wykwintne dla ich prostych układów trawiennych, Mamo. „Mrówka nic nie pożycza. Ona daje bez rachunku i nigdy nie chce zwrotu. Nie posiada żadnej własności, nawet tego co przechowuje w swoim wnętrzu. Cała jest narządem czysto dobrotocznym. Niestrudzona pracownica, ascetyczna, czysta, bezpłciowa nieomal, zna tylko jedną rozkosz – udzielania każdemu, kto zażąda, chociażby wszystkich owoców

swych trudów. Jednak pewną ilość młodych mrówczych matek, przeznaczonych na to przez jakiś nieznany czynnik, starsze robotnice zatrzymują przemocą, chwytając za odnóża, odrywają im skrzydła i wiodą z do wnętrza mrowiska, którego nie opuszczają już do końca życia. Kto jednak ustala liczbę tych przeznaczonych na zatrzymanie samiczek, kto decyduje tu o potrzebach Rzeczypospolitej?²”

¹ Biblia, Księga Przysłów 6, 6-8

² Maurice Maeterlinck, *Mrówki*